

„Dzieci po prostu się nam rodziły, a my je przyjmowaliśmy”

Fernando Carton Herran, Katarzyna Wrębel

Poznaliśmy się w Częstochowie w 1991 roku na Światowych Dniach Młodzieży. Te spotkania młodych z Papieżem zostały zapoczątkowane przez Jana Pawła II, który już niedługo zostanie ogłoszony świętym. Pojechałam do Częstochowy, żeby szukać swojego powołania. Wtedy, dwadzieścia dwa lata temu, nie miałam pojęcia, że Jan Paweł II jako jeden z nielicznych biskupów poparł *Humanae Vitae* Pawła VI i pisał dużo o małżeństwie, rodzinie i odpowiedzialności. Byłam młodą dziewczyną i nawet nie przypuszczałam, że nauka zawarta w encyklikach papieskich będzie miała jakikolwiek wpływ na moje życie.

Ślub braliśmy w Krakowie w roku 1997 w kościele św. Barbary. Wtedy ślubowaliśmy sobie miłość, wierność i uczciwość małżeńską. Ślubowaliśmy też, że po katolicku wychowamy potomstwo, którym nas Bóg obdarzy.

W prezencie ślubnym od Kościoła dostaliśmy czytania z dnia, bo nie chcieliśmy specjalnych ślubnych. Słowo było o rozmnożeniu chleba. Dziś możemy świadczyć o tym, że Pan Bóg jest wierny swojej obietnicy, którą nam wtedy złożył – jemy wszyscy do sytości i pozostaje nam dwanaście pełnych koszy ułomków. Tak działa Pan Bóg.

Katarzyna

Jako młoda dziewczyna marzyłam o rodzinie – mężu, dzieciach i o pięknym domu z ogrodem. Ale zawsze kiedy myślałam o dzieciach, nie potrafiłam wymyślić ich liczby.

Pod zamkniętymi powiekami widziałam wiele par oczu.... Kompletnie tej wizji nie rozumiałam.

Miałam dwadzieścia lat, gdy weszłam do Wspólnoty Neokatechumenalnej. Byłam w najgorszym okresie buntu przeciwko

wszystkiemu – rodzinie, Kościołowi, zasadom moralnym i społecznym. Dziś już nie wiem, co zmusiło mnie do wysłuchania ciągu katechez głoszonych w kościele o. Zmartwychwstańców w Krakowie przez ludzi świeckich i księdza, ale siedziałam tam i słuchałam o Abrahamie, który zostawił wszystko i poszedł za Bogiem, o Izraelitach, którzy przeszli przez Morze Czerwone suchą stopą, i o Maryi, która odpowiedziała *fiat* na Boże wezwanie. Wtedy chyba po raz pierwszy usłyszałam o ludziach, którzy na poważnie wzięli to, co Pan Bóg do nich mówił, i jak to słowo, które usłyszeli, zmieniło ich życie. Przyglądałam się postaci Abrahama i zobaczyłam w sobie tę samą mizериę – byłam bankrutem, jak on. Buntowałam się przeciwko wszystkiemu i wszystkim, bo nie widziałam nikogo, do kogo warto byłoby się zwrócić, komu byłoby potrzebne moje życie. Wtedy usłyszałam słowa, które usłyszał Abraham – „Wyjdź z twojej ziemi i chodź za mną, a ja ci dam wszystko, czego potrzebujesz”.

Obserwowałam wiele rodzin na Drodze, które przyjmowały kolejne dzieci w sposób zupełnie naturalny, jak prezent od Pana Boga, za każdym razem ciesząc się, że ich rodzina się powiększa. Często pomagałam w opiece nad dziećmi w tych rodzinach, bo jako studentka pedagogiki chciałam zobaczyć, czy to, czego nas uczą na studiach, ma jakiegokolwiek przełożenie na normalne życie. Na początku się dziwiłam, że matki w tych rodzinach są uśmiechnięte i zadbane, bo moje wyobrażenie o matkach w rodzinach wielodzietnych było takie, że to kobiety zapracowane i smutne, bo muszą się POŚWIĘCAĆ rodzinie, nie mając czasu dla siebie. Zobaczyłam, że to nieprawda – kobiety miały czas dla siebie i dla innych. Zobaczyłam ze zdziwieniem, że nie wyglądają jak cierpiężnice, tylko jak kobiety sukcesu, bo ich życie rodzinne było sukcesem!

Rozmawiałam też z ich dziećmi, bo podejrzewałam, że od nich dowiem się prawdy o życiu ich rodzin, że odkryję jakąś tajemnicę, ukryty dramat, coś, co zburzy ten piękny z pozoru świat – ale wszystkie te dzieci były szczęśliwe, zadowolone, że mają więcej rodzeństwa niż większość ich szkolnych kolegów. Dziwiła mnie też miłość w tych rodzinach – taka spontaniczna i niewyrachowana, z zaufaniem Boga i oddaniem się Jego woli.

Zaczęło do mnie docierać, że to, czego mnie tak pilnie uczą na studiach – że należy dzieciom zapewnić wszelkie dobra mate-

rialne, które będą mogły wykorzystać do osobistego rozwoju – to straszne uproszczenie. Dzieci potrzebują przede wszystkim wiążącej rodziny i miłości.

Wtedy dotarło do mnie, że te oczy, które widziałam, marząc o swojej rodzinie, to oczy moich dzieci, które czekają na mnie. I że mam im się dać urodzić.

Fernando

Jestem Hiszpanem, pochodzę z San Sebastian w Kraju Basków, pięknego miasta nad morzem.

Moja przygoda z wielodzietnością zaczęła się już w domu rodzinnym. Jestem, razem z bratem bliźniakiem, najstarszym z siedmiorga dzieci moich rodziców. Gdy moi rodzice weszli do wspólnoty, było nas troje, potem w krótkich odstępach czasu urodziło się kolejno jeszcze czworo rodzeństwa.

Posiadanie tak licznego rodzeństwa powodowało pewne ograniczenia – nagle wszystko, co dotąd było dzielone na troje dzieci, musiało wystarczyć dla siódemki. Nie mogłem mieć pokoju tylko dla siebie, trzeba było pomagać rodzicom w opiece nad młodszym rodzeństwem, skrócił się też czas korzystania z łazienki, która musiała teraz wystarczać dla większej ilości osób.

Trudno mi było zaakceptować to wszystko, ale równocześnie doceniałem to, że dom był pełen ludzi – zawsze przychodzili do nas koledzy, dom tętnił życiem, nigdy nie czułem się samotny. Nasi znajomi chętnie przychodzili do nas, bo zawsze było wesoło, zawsze coś się działo.

Doświadczyłem też, że pomimo tej ilości dzieci w domu niczego nam nie brakowało, mogliśmy skończyć wyższe uczelnie, dwójka najmłodszych jeszcze studiuje.

To, co pisze Tomasz Rowiński na temat egoizmu¹ jako podstawowego kryterium kierującego życiem, jest prawdą, nasze wyobrażenia wielkiej miłości i związanego z tym sposobu życia są efektem źle pojętej miłości do samego siebie. Ja jestem egoistą, lubię wygodę i święty spokój, więc kiedy wyprowadzałem się z domu, nie myślałem o założeniu rodziny wielodzietnej, ale raczej o przeżywaniu miłości w stylu romantycznym, która pozwoli mi się skoncentrować na samym sobie. Wzrastanie w takiej rodzinie nie znaczyło, że automatycznie będę chciał ten model powielać.

¹ T. Rowiński, *Małżeństwo w mirażu namiętności*, „Christianitas” nr 52/2013, ss. 70-73.

Znałem z doświadczenia jej braki, wiedziałem, że pociąga ona za sobą więcej obowiązków i ograniczeń dla dzieci. Rodzice nigdy nie mówili, że dobrze, żebym miał dużo dzieci. Jedyne, co mi radzili, to żeby szukać wierzącej żony, która będzie miała taki sam system wartości jak ja.

Wtedy poznałem Kasię.

Spotykaliśmy się sporadycznie w wakacje i czasem na Święta i ciągle pisaliśmy do siebie listy.

W końcu podjąłem decyzję – w styczniu 1997 roku ja, egoista i drobnomieszczanin, spakowałem plecak, zabrałem gitarę i kupiłem bilet w jedną stronę do Polski.

Pobraliśmy się pół roku później, po sześciu latach znajomości. Potem urodził się nasz pierworodny syn. Nadal nie miałem żadnego planu na to, jak ma wyglądać nasza rodzina. Doświadczyłem tego, że co innego być synem swoich rodziców, a czym innym jest być mężem i ojcem.

Potem rodziły się kolejne dzieci i wtedy zdałem sobie sprawę, że fakt pochodzenia z rodziny wielodzietnej i doświadczenia troski Boga o naszą rodzinę i pomocy, jakiej udzielał moim rodzicom, w pewien sposób mnie ukształtował. Wyniosłem z domu ten model rodziny – Pan Bóg na pierwszym miejscu, mąż odpowiedzialny za rodzinę i żona, która jest sercem domu.

Kiedy mieszkaliśmy w Krakowie, w naszej wspólnocie było wiele małżeństw, które borykały się z tymi samymi problemami co my. Miały dzieci, musiały zapewnić im byt. Dużo rozmawialiśmy z nimi, wiedziałem, że pomimo trudności nie umierają. Wtedy zobaczyłem, że ci ludzie żyją tak samo jak moi rodzice w Hiszpanii, że mają tę samą wiarę w Boga, tę samą gorliwość i przekonanie, że to Pan Bóg jest Panem historii.

Kiedy urodził się nasz drugi syn i chcieliśmy kupić mieszkanie, nie szukałem dwóch pokoi z kuchnią, tylko od razu szukaliśmy dużego mieszkania, w którym zmieści się wiele dzieci, jeśli Panu Bogu spodoba się nam je dać.

Katarzyna

Kiedy poznałam Fernanda, miałam już za sobą rok modlitw o dobrego, wierzącego męża.

Początki naszego małżeństwa były trudne – ja bez pracy, mąż słabo mówiący po polsku, zatrudniony na zlecenie w hiszpańskiej firmie, która nie dawała nadziei na dłuższą współpracę, bez mieszkania, bez żadnych perspektyw... To nie była historia z Harlequina z bogatym księciem w roli głównej, który wjeżdża na białym koniu i ofiarowuje mi pół królestwa.

Mieliśmy tak naprawdę tylko siebie i Pana Boga, którego prosiliśmy o pomoc i opiekę. I On nam tej opieki nie szczędził.

Kiedy zaszałam w ciążę, okazało się, że kontrakt tej hiszpańskiej firmy w Polsce został zerwany i pracy dla mojego męża już nie ma. Zimna kalkulacja i zdrowy rozsądek wsączyły nam jad w serce, że nie stać nas na dziecko. Przeplakałam pół nocy na materacu w mieszkaniu moich rodziców, gdzie mieszkaliśmy, bo nie mieliśmy ani swojego łóżka, ani mieszkania, ani nadziei na jego posiadanie. Ale ludzka matematyka na szczęście nie zgadza się z Boską ekonomią.

Rano powiedzieliśmy Bogu: „Panie, poszliśmy za Tobą, przyjęliśmy dziecko, które nam dałeś, teraz prosimy, pomóż nam! Prosimy nie dla nas, ale ze względu na to dziecko – nie pozwól, żeby ktoś powiedział: zaufali Panu, a On odwrócił się do nich plecami. Niech się święci imię Twoje!”.

I wtedy Pan Bóg zaczął działać.

Był szef mojego męża wypłacał mu przez pół roku pensję, mimo że nie obejmowała tego żadna umowa.

To był cudowny czas, bo wreszcie mogliśmy być razem, codziennie, całymi dniami! Bardzo mi tego brakowało w czasie narzeczeństwa na odległość – dzieliło nas bowiem dwa i pół tysiąca kilometrów – za dużo, żeby się spotykać tak często, jak chcieliśmy. Wtedy, po ślubie, Pan Bóg dał nam nadrobić wszystkie zaległości w byciu razem.

Kiedy pensja po pół roku przestała wpływać na nasze konto, mąż podjął najbardziej szaloną decyzję w naszym życiu – wyprowadzamy się! Jeśliby przyjąć tak powszechne dziś kryteria zdrowego rozsądku, namysłu, wyrachowania, które analizuje wszystkie warunki, była to absolutnie niedopuszczalna sytuacja, na jaką sobie pozwoliliśmy. Jednak była to decyzja zgodna z wolą Bożą, którą Ten przypieczętował.

Wyszliśmy z domu moich rodziców, jak Abraham z Ur i jak Maryja z Józefem do Egiptu. Ja, jak żona Abrahama, marudziłam, że mąż oszalał, że przecież zginiemy bez pieniędzy, że za miesiąc z pochyloną głową będziemy musieli wrócić do rodziców i znów poprosić o dach nad głową.

Ale byłam posłuszną mężowi, bo już wielokrotnie widziałam w mojej wspólnotcie dobre owoce posłuszeństwa. Wiedziałam, że Pan Bóg zawsze podpisuje się pod decyzjami męża, bo to jego ustanowił opiekunem żony. Ale do tej pory wiedziałam to teoretycznie, nie przypuszczałam, że posłuszeństwo w praktyce okaże się takie trudne!

Mąż zaczął dostawać zlecenia, których realizacja nie wymagała poświęcania mnóstwa czasu, ale dawała mu zarobić na czynsz i życie. Dziś, patrząc z perspektywy czasu, dochodzimy do wniosku, że to był najbardziej beztroski czas w naszym małżeństwie – my dwoje, dziecko, które nosiłam pod sercem, i Pan Bóg, który zabezpieczał nasz byt.

W dniu, w którym miałam wyznaczony termin porodu, Fernando miał rozmowę o pracę w Gliwicach. Ja zostałam w Krakowie i modliłam się o dwie rzeczy – żeby dostał tę pracę i żeby dziecko się nie urodziło podczas nieobecności swojego taty. Zostałam wysłuchana – mąż dostał pracę, a syn urodził się dopiero dwa tygodnie później, kiedy wszystkie ważne dokumenty do podjęcia nowej pracy były już podpisane i załatwione także w ambasadzie.

Tylko Pan Bóg jest tak precyzyjny!

Wtedy zaczęły się trudności, bo nie z samych radości składa się życie ludzkie. Mąż pracował w Gliwicach i przyjeżdżał tylko na weekendy, a ja siedziałam sama w domu z noworodkiem i... depresją poporodową. Dodatkowo byłam tak słaba po ciężkim porodzie, że nie dawałam rady znieść na spacer wózka z dzieckiem z trzeciego piętra, na którym mieszkaliśmy. Codziennie wypłakiwałam się mężowi przez telefon, bracia ze wspólnoty przychodzili mi pomagać, wyprowadzali mnie na spacer, rozmawiali, pocieszali...

Doświadczyłam wtedy ogromnej miłości Kościoła do siebie, grzesznika. W mojej wspólnotcie było małżeństwo, z którym zawsze się kłóciliśmy, czułam się przez nich kompletnie nierozumiana i odrzucona, a i sama nie pozostawałam wobec nich dłużna. Ale wtedy, kiedy potrzebowałam pomocy, oni pierwsi

wyciągnęli do mnie pomocną dłoń – pomimo posiadania własnych malutkich dzieci przychodzili do mnie prawie codziennie i pomagali. To dzięki nim doświadczyłam, że Kościół to żywe ciało, które mocą Jezusa Chrystusa potrafi łamać wszelkie bariery.

Kiedy już przeprowadziliśmy się do Gliwic, Pan Bóg pozwolił nam doświadczyć trochę stabilizacji – wynajęliśmy mieszkanie, mąż zrobił prawo jazdy, potem zdecydowaliśmy się na kupno mieszkania, potem samochodu...

W międzyczasie oczywiście rodziły się nam kolejne dzieci, bo mając doświadczenie Boga, wiedziałam, że jako kobieta jestem powołana do dawania życia i to jest też bezwzględna wartość małżeństwa wbrew temu, co dziś dokoła słychać. Wiele razy bowiem widziałam, jak zgadzanie się z wolą Bożą przynosi prawdziwe błogosławieństwo mojej rodzinie. Dziś mamy pięciu synów tu, na ziemi, i córkę, której nie mieliśmy szansy poznać, choć zdążyliśmy ją gorąco pokochać. MariCarmen zmarła w czwartym miesiącu życia pod moim sercem.

Fernando

Nigdy nie patrzyłem na dzieci jak na obowiązek, tak jak nigdy nie rachowałem czy nie kalkulowałem. Dzieci po prostu się nam rodziły, a my je przyjmowaliśmy. Nie znaczy to, że nie było walki, że nie musiałem się zмагаć. Po chorobie żony (miała uszkodzony kręgosłup) bałem się mieć kolejne dziecko, bo obawiałem się, że kolejna ciąża może pogorszyć jej stan zdrowia. Bałem się też, że w pracy ludzie powiedzą, że jestem nawiedzony. Mogłem wtedy zobaczyć, że Pan Bóg nie przymusza mnie do niczego i pomimo niestosowania żadnych zabezpieczeń ani kontroli nie daje nam kolejnego dziecka. Powoli uczyłem się zaufania do Boga.

Wtedy pojechaliśmy na tydzień do Helsinek na święcenia kapłańskie jednego z braci ze wspólnoty. Pojechaliśmy sami, bez dzieci. Czułem się jak w podróży poślubnej – znowu sami, trzymając się za ręce, piękna przyroda i morze.

Wróciliśmy z Finlandii już we trójkę – moja żona spodziewała się kolejnego dziecka. Byłem zadowolony, strach minął, bardzo się cieszyłem z tej ciąży. I wtedy cios – po kilku miesiącach żona poroniła. Długo nie rozumiałem, dlaczego to się stało, dlaczego Pan Bóg na to pozwolił.

Wtedy z jakiegoś błahego powodu miałem ostrą wymianę zdań z moim szefem. Powiedział mi, że może mnie wyrzucić z pracy, jeśli zechce.

I w tym momencie zrozumiałem.

Powiedziałem mu, że może mnie wyrzucić, bo moje życie nie zależy od niego ani od tej pracy. Że Panem życia mojego i moich dzieci jest Bóg, nie człowiek, i jeśli On zdecyduje, że mam w tej firmie nie pracować, to tak się stanie. Wtedy dotarło do mnie, że Pan Bóg jest moim Ojcem, że troszczy się o mnie tak, jak robił to mój ojciec, kiedy byłem dzieckiem. Że nie muszę się zamartwiać, że mogę w wolności podejmować decyzje, a Pan Bóg będzie mi pomagał, bo mnie kocha.

Wtedy strach minął. Do tej pory starałem się jak faryzeusz sprostać wymaganiom, wtedy poczułem się naprawdę wolnym człowiekiem.

Paweł VI w encyklice *Humanae Vitae* naucza, że *konieczną jest rzeczą, aby każdy akt małżeński zachował swoje wewnętrzne przeznaczenie do przekazywania życia ludzkiego*. Przez lata myślałem, że jestem temu nauczaniu posłuszny, bo dzieci się rodziły, ale ta sytuacja objawiła co innego. W rzeczywistości chciałem całkowicie kontrolować historię, wchodząc w wolę Boga na tyle, na ile było to bezpieczne, w innych sytuacjach wyznaczając granicę, mówiąc: „STOP” – dalej już się nie da, dalej jest już tylko śmierć. Próbowaliśmy wypełniać te słowa własnymi siłami, ale to powodowało tylko stres. Wtedy, po stracie dziecka, widziałem, że wszystko, co Bóg dla mnie przygotował, jest dobre i że w wolności można przyjmować Jego wolę z radością i pokojem.

Pan Bóg wie lepiej ode mnie, kiedy dać nam kolejne dzieci – poczynają się w odstępach dwu- i czteroletnich, choć wcale tego nie planujemy.

Katarzyna

Nie byłabym uczciwa, mówiąc tylko o radościach i błogosławieństwach, jakich doświadczyliśmy w naszym małżeństwie. Były też chwile trudne, jak wspomniana już wyżej śmierć dziecka. Ale i ten fakt uważam dziś za błogosławieństwo – mam dzięki temu wydarzeniu absolutną pewność, że to Pan Bóg jest dawcą życia, nie my, rodzice. My tylko możemy dar życia przyjmować

i za niego dziękować, nic więcej. To trudna lekcja pokory, ale bardzo skuteczna.

Zresztą Pan Bóg wynajduje ciągle nowe sposoby, żeby nam jako rodzicom pomóc wzrastać. Mnie uczy, jak być dobrą matką dla synów, jak nauczyć ich szacunku do kobiety, jej pracy, jej słabości.

Po urodzeniu czwartego syna miałam ogromne problemy z kręgosłupem. Problem ciągnął się na tyle długo, że w końcu leżałam przykuta do łóżka przez ponad miesiąc, czekając na operację, zdana na pomoc męża, dzieci i przychodzących codziennie kobiet ze wspólnoty, które zajmowały się mną – obłożnie chorą i naszym ośmiomiesięcznym wtedy najmłodszym synem, żeby mąż mógł normalnie pracować i utrzymać rodzinę. To był dla mnie czas ogromnego cierpienia, zarówno fizycznego, jak i psychicznego. Codziennie pytałam Boga, dlaczego nasze dzieci muszą widzieć matkę w takim stanie – bezwładną, słabą i cierpiącą. Wtedy moja ciotka, również matka wielodzietna, powiedziała mi, że to dla moich dzieci najlepsza lekcja. Chłopcy mogli widzieć moje zmaganie, słabość, pomagać na miarę swoich sił, ucząc się równocześnie, że kobieta – teraz matka, ale w przyszłości jakaś inna kobieta, która zostanie ich żoną – może być słaba, że będzie wymagała opieki i silnego, męskiego ramienia. I że oni mają jej tę opiekę zapewnić.

To wydarzenie w naszej rodzinie do dzisiaj przynosi dobre owoce – mi pomaga kochać i uświęcać się z umiarem, jak zaleca św. Paweł, a moim dzieciom daje możliwość ćwiczenia się w służbie drugiemu człowiekowi i zrozumieniu jego potrzeb.

Wielu ludzi zarzuca nam nieodpowiedzialność – przyjmowanie kolejnych dzieci pomimo chorób, wieku, statusu majątkowego. Wielu z nich poucza nas, że tak w dzisiejszych czasach żyć nie można, że trzeba myśleć, że trzeba planować, rozważać i przewidywać. Oni reprezentują porządek, o którym pisze Tomasz Dekert w artykule o katolickim małżeństwie², podkreślając znaczenie rozumu, rozsądku w podejmowaniu decyzji o kolejnym dziecku czy wolnej woli, zarzucając nam (nie wprost) pelagianizm. Nie raz słyszeliśmy zarzuty dotyczące głupoty czy nawet podejrzania o patologię w relacji między nami. Na porządku dziennym podczas kolejnych wizyt u ginekologa były propozycje antykoncepcji.

² T. Dekert, *Dobro i „dobro”, czyli katolickie małżeństwo a NPR*, „Christianitas” 52, ss. 74-84.

Początkowo złościłam się na takie zarzuty, ale w końcu zrozumiałam, że ci ludzie po prostu nie wiedzą, że najlepszym planem na życie jest ten plan, który napisał dla nas Pan Bóg.

To On wie najlepiej. Nasze decyzje nie są krokiem w przepaść, ale są świadomymi aktami woli oświeconymi przez wiarę i łaskę, której doświadczamy na każdym kroku.

Nie potrafię tak naprawdę przewidzieć niczego – ani swojego zdrowia, ani dochodów, ani tego, czy jutro w ogóle będę żyła. Jak mając tak mało danych, mogę planować moje życie?!

Oddajemy całe nasze życie Bogu, bo doświadczylśmy, że Jemu naprawdę zależy na nas jak ojcu, który troszczy się o swoje dzieci, bo je kocha.

I ta miłość dodaje nam sił każdego dnia.

To ona sprawia, że przyjmujemy z wdzięcznością kolejne dzieci, obdarzając je miłością i dbając o ich wychowanie w wierze.

Fernando

Widzimy, że nasze powołanie, żeby być rodziną wielodzietną, jest dla wielu znakiem zapytania. Przekazujemy wiarę naszym dzieciom, świadczymy o Bożej miłości i miłosierdziu właściwie każdego dnia. Zdajemy sobie sprawę, że jesteśmy powołani do tego, żeby być dla świata widzialnym znakiem miłości Chrystusa do Kościoła. To wielkie słowa, ale realizują się bardzo prosto, w rzeczach zwyczajnych, czasem wręcz banalnych. Kiedy ktoś pyta, dlaczego mamy tyle dzieci, czy nie potrafimy się zabezpieczać, czy na pewno nas stać na taką rodzinę – w każdej takiej rozmowie mamy możliwość wskazywać na Boga – Tego, który jest Panem naszej historii.

W ten sposób realizujemy misję, jaką ma każdy chrześcijanin – wskazujemy innym drogę do Nieba. ■